



**Człowiek bez marzeń jest martwy za życia,
nawet mając 120 lat... razem.**



Wiatr we włosach, zapach, walka z przeciwnościami,
łzy wzruszenia, pot, duma z pokonania własnych słabości,
piękno i potęga natury, cudowne wspomnienia,
łzy wściekłości, smak przygody, poczucie własnej wartości
– to tylko niektóre z doznań, jakich może dostarczyć **rower**
– ta najwspanialsza maszyna, jaką wymyślił człowiek!

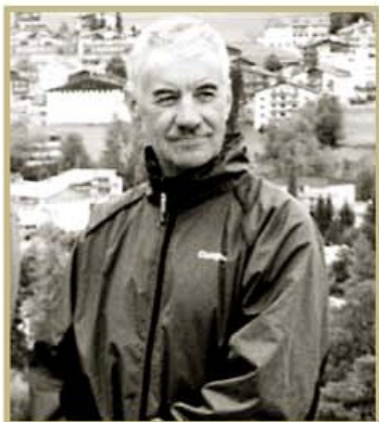
(Czajkowski-Pawłucki)

RYSZARD DE TEISSEYRE

TURISTIKA EXTREME

DIABELSKIE
PODRÓŻE ROWEREM

2001–2011

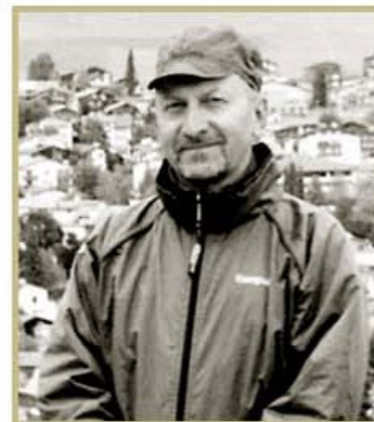


Ryszard de Teisseyre

ksywa Markiz – Polak z francuskim rodowodem sięgającym XIV wieku. Z wykształcenia fizyk jądrowy, mieszka we Wrocławiu. Ma za sobą 21 lat pracy w nauce, ale miał się też innych zajęć, między innymi 8 lat prowadził firmę stolarską, by po stracie pracy na uczelni być kolejno konserwatorem, listonoszem i wreszcie szatniarzem.

Kocha zwierzęta, wszystkie, z zamiłowania muzyk (nawet gra i śpiewa), fimowiec-amator, literat i zapalony narciarz. Największa pasja to podróże rowerowe. Zjeździł Polskę i Europę we wszystkich kierunkach, a nawet kawałek Azji, co później opisywał. Nie znosi głupoty, nadęcia, „obrastania w pióra”, chorych ambicji, męskiego ego i macho.

Lubi ludzi mądrych, wrażliwych i umiejących słyhać, nawet jak gra.



Ryszard Grześkowiak

ksywa Diabeł – z korzeniami dawnej szlachty węgierskiej.

Z wykształcenia bibliotekarz, pracujący jako dyplomowany nauczyciel w bibliotece w Pile, swoim rodzinnym mieście. 4 lata młodszy od Markiza, niezłomny towarzysz wszystkich wspólnych podróży i główny bohater książki. Rozmiłowany w literaturze, sterylnym porządku i pięknych kobietach, lecz rower i pasje podróżnicze przedkłada ponad wszystko.

Nie toleruje samochodów, gorąca, przemocy i cywilizacyjnej wrzawy. Nie gustuje w sponsorach, politykach i celebrytach, lubi ciszę i zimne piwo. Zjeździł rowerem kawałek świata, podobnie jak jego towarzysz Markiz.



DLACZEGO ROWER? 5
PROLOG 11
Prześwięta wyprawa 2001 11
ROZDZIAŁ PIERWSZY. Diabelska podróż pierwsza
WOKÓŁ BAŁTYKU 2003 22
Jego wysokość Diabeł 22
Prusy Wschodnie 23
„Litwo – Ojczyzno moja” 26
Łotewskie duchy 29
Estońskie dziury, chmury i dobre serca 32
Z Pałacu Myśliwskiego do „Motelu u Vadima” 35
Maładcy! 40
Boże chroń cara! (i cyklistów) 43
Perła Europy 48
Od cara przez Lenina do czasu Putina 55
Gdy Bałtyk jest na południu 62
ROZDZIAŁ DRUGI. Diabelska podróż druga
PRZEZ KRYM NA KAUKAZ 2004 72
Karpacki prolog 73
Franek klekot i Jurek Zorro 85
Rumuński interior 91
Przez błota Ukrainy 97
Krymski Chanat i jałtański pasztet 110
Kraina win, koniaków i liczydeł 124
Rebiata 131
Kaukaskie poziomki 140
Pod dachem Europy 149
Daleka droga do domu 157

ROZDZIAŁ TRZECI. Diabelska podróż trzecia.
TROLLSYLWANIA 2004 164
Narodziny 164
Przez szwedzkie bory 167
Deszczowa kraina Trolli 177
Wśród wyżyn i lodowców norweskiej tundry 195
Z marchewką do cywilizacji 221
Przeminęło z wiatrem 227
ROZDZIAŁ CZWARTY. Diabelska podróż czwarta i piąta
ALPEJSKI DUET CZĘŚĆ PIERWSZA – DOTKNIĘCIE ALP 2006 238
Tropikalne kopce 240
Z kleszczami przez Tyrol 245
Szwajcarska kłątwa 256
CZĘŚĆ DRUGA – ALPEJSKIE SERCA 2007 268
Powrót szwajcarskiej kłątwy 270
Dwa serca Alp 280
Powrót do przeszłości 303
ROZDZIAŁ PIĄTY. Diabelska podróż szósta
PIGUŁKA AZJI 2009 322
Zsyłka dobrowolna 328
Altajski klekot 347
Skały i kości 375
Marnotrawni 420
Bradiaga 432
Do domu 450
ROZDZIAŁ SZÓSTY. Diabelska podróż siódma i ósma
NA KRAŃCE EUROPY 456
Podróż sentymentalna 2010 457
Nordkapp 2011 471
Epilog 484
Przypisy 491

Newa



Imponujących rozmiarów napis „Leningrad” złożony „bukwami” z pospawanych prętów żegna nas na północnej pierzei miasta. W pełnym słońcu i z potokiem samochodów posuwamy się główną szosą na północ. „Put vsjегда budiet solnce” – pozdrawia nas wielka tablica z radosnymi twarzami dzieciaków z doby komunizmu. W nas też wstępuje komunizm – o przepraszam – optymizm i mocno naciskamy na pedały, po raz kolejny zmieniając się w maszyny do kręcenia. Pochylny nisko nad kierownicą obserwuję uciekający asfalt i porządkuję w głowie wrażenia i doznania. Ogólnie podoba mi się Rosja i ten cały Wschód, jest swojsko, tanio, ludzie są wspaniali, a im biedniejsi, tym bardziej życzliwi. Trzy rzeczy są tu bajecznie tanie, a są to towary strategiczne – benzyna, papierosy i wódka. Tak „dierzyć tawariszczi”!!! Swojskość przybiera często komiczne formy. Pijalnie wódki są ciekawą formą wyjścia frontem do ludu. Wchodzi sobie gość do takiego „pubu” po drodze ze sklepu

lub kościoła, dostaje setkę lub kwaterkę białej czystej w szklance ze szkła grubego, staje sobie przy półce zmontowanej na wysokości piersi, by ręki za wysoko nie unosić, przed nosem ma lustro, co by nie pić do ściany i – „na zdrowie”! Cała operacja trwa 3 minuty i kosztuje 5–10 rubli (1–2 zł). A my w ramach obiadku siedzimy sobie właśnie na ławeczce przy skwerze w jakiejś „dierewni” i gaworzymy z ludem. Obok siedzi babuszka i popija piwo, dosiada się elegancka pani z lepszym piwem w dłoni, a za moment ławeczka zapelnia się spragnionymi i głodnymi.

– *Nu maładcy, a kuda wy tiepier jadtocie?* – zagaduje gość w średnim wieku, rozkładając na gazecie suszone ryby, które za chwilę zaczynają głośno chrzęścić rozrywane srebrnymi zębami.

– *My na Wyborg a dalsze w Finlandiu, ale nie znamem kak do Wyborga daleiko?*

– *Nu – rzecze jegomość – maszinoj budiet tridcać kilamietrow, a welocypedom, ja dumaju boleje czem siemdesjat.*

To oznajmiwszy, wyciera obtłuszczone ręce w gazetę, a następnie w spodnie, odgryza kapsel piwa błyszczącym zębem i z lubością pociąga tęgi łyk złotego napoju.

– *A znajetie wy* – podtrzymuję dalej rozmowę – *kto takoj nastajaszczij mužczina?* – Wszyscy z zainteresowaniem patrzą w naszą stronę.

– *Nastajaszczij mužczina dolžen być* – tu chwilę przetrzymuję zaciekawionych słuchaczy – *smyt, bryt i niemnożko napit* (umyty, ogolony i trochę nawalony). Salwa śmiechu i już jak starzy znajomi rozmawiamy z tymi miłymi ludźmi. Jeszcze pokazują nam właściwą drogę na mapie i życzą wsjewo charaszowo.

Jedziemy przepięknymi lasami, ale trudno zatrzymać się choćby na chwilę, bo natychmiast atakują z cicha stada wielkich, końskich much. Nie widać żadnych zwierząt – a much roje – co jest u licha? Sprawa wyjaśnia się szybko. Las służy za dzikie wysypisko śmieci, których całe hałdy spotykamy co parę kilometrów. Jak skończyły się muchy, pracę rozpoczęły komary i bezlitośnie utrudniają nam rozbięcie obozu, za nic mając, że dziś zrobiliśmy 142 kilometry.

piękne i zabytkowe miasto. Zaciekawia mnie widok młodego Latynosa śpiącego na karimacie dokładnie na środku dużego, pokrytego wypukłą kamienną kostką placu.

Do NYNĀSHAMN jadę drogą rowerową i pod wiatr. Muszę zdążyć przed godziną 17, bo inaczej czeka mnie tam podwójny nocleg, prom pływa co dwa dni. Ścieżka tradycyjnie kilka razy wyprowadza mnie na manowce, jeśli tak można nazwać piękne posesje, przed którymi droga się urywa. Słońce wyciska pot z każdej komórki ciała, który cienkimi strużkami spływa po brązowej skórze. Mijam wielu rowerzystów i to jest tu normalne. Już o godzinie 13 jestem w porcie. Terminal roi się od ludzi, w większości Polaków, a ja funduję sobie łóżko w kabinie za jedyne 60 koron (30 zł). Dziś jest 25. dzień wyprawy, szósty kraj i 2135 kilometr trasy. Zostało 10 dni, zostały pieniądze, są siły, chęci, zdrowie i wspomnienia – lecz nie ma niestety możliwości zamknięcia planowanej pętli bałtyckiej w Ystad. Siedząc przy szklance dobrego piwa, spoglądam przez bulaj na setki maleńkich wysepek, którymi żegna nas skandynawska ziemia, a bryzgi fal perłową fontanną, jak pióropusz bajkowego pawia, zraszają pokład i twarze ludzi wsłuchanych w pieśń morza i własne myśli. Moje myśli wciąż błądzą po ścieżkach odbytej przygody, wyszukując minione chwile i przeżycia, czasem złe, częściej dobre, ale na pewno – n i e z a p o m n i a n e!

Na wybrzeżu dokręciłem jeszcze 50 kilometrów, ale to już zupełnie inna bajka. A co się stało z moim towarzyszem doli i niedoli, wspaniałym kompanem i podróżnikiem Diabłem – dowiedziałem się po niedługim czasie. On też mnie szukał, czekał, przetrząsał sklepy i zjeżdżał okolicę – tylko byliśmy rozminięci w czasie, jak w dwóch różnych wymiarach. Być może chwilami staliśmy plecami do siebie, ale widać los nie chciał nam pomóc. Diabeł pomyślał, że nie sposób się spotkać w tak dużym mieście jak Turku – i pociągiem wrócił do Helsinek. Tu okazało się, że nie ma promu do kraju i musiał przetrwać do dnia następnego, śpiąc w przyczepnej sypialni namiotu na skwerze w centrum miasta. Potem popłynął promem do Tallina – i tu miał dużo szczęścia – złapał autobus jadący

raz na tydzień do Warszawy. Doba jazdy w prostym jak konserwa pojeździe nie rozmiękczyła zahartowanego podróżnika, za to cały powrót odchudził nieco portfel, kosztując jak wycieczka lektyką! W sumie obaj szczęśliwie dotarliśmy do domów, straciliśmy po 10% wagi ciała, zdobyliśmy worek nowych doświadczeń i ogromny zapal do następnych, jeszcze większych ekspedycji. Wszak razem mamy tylko trochę ponad 100 lat.



Rozglądając się po łąkach zakrwawionych światłem lądującego słońca, dostrzegamy nagle sylwetkę obladowanego cyklisty. Hamujemy równocześnie, bo nie sposób przejechać obojętnie obok rowerowego brata. Mamy więc drugie spotkanie z sakwiarzem i jak się później okazało – ostatnie. Georgij z Ukrainy jest rzadkim okazem ginącego gatunku globtrotterów Wschodu. Nawet silny Diabeł nie jest w stanie podnieść tylnego koła stalowego rumaka marki Ukraina, obłożonego ciężkimi skórzano-parciany torbami ucharakteryzowanymi na sakwy. Rower zostaje podparty kijem od nart (bez talerzyka), a z przepastnego wora podróżnik wyjmuje staroświecki statyw i aparat zenit. Nie tylko robimy sobie zdjęcia, ale nasz miły znajomy nagrywa całą rozmowę na podręczny dyktafon. A rozmowa trwa dobre pół godziny, w czasie której oglądamy z podziwem przeróbki dokonane w jego maszynie. Georgij ma za sobą już 1000 kilometrów i całe Karpaty – Boże, jaką on musi mieć moc! Co do siły ludzi Wschodu nie mamy wątpliwości, jak i urody kobiet, która także na Ukrainie nie pozwala nam przejechać obok obojętnie. Nie zmienił się tylko schemat z ubiegłego roku – ja patrzę z przodu, Diabeł z tyłu.

Georgij



Słońce już się schowało, gdy lądujemy po raz pierwszy w strasznym dworze⁷. Ten wielki, piętrowy budynek na peryferiach małej wioski musiał być kiedyś internatem lub szkołą, a dziś odbija echem nasze kroki i straszy pustką pokoi i korytarzy. Żelazna zasada dzikich noclegów mówi, by trzymać się z dala od ludzi, bo nic w przyrodzie nie może być tak niebezpieczne, jak człowiek. Wtem dają się słyszeć kroki i ściszone rozmowy. Przyczajeni w ciemnym pokoju rozpoznajemy dziewczęcy szebiot i męski głos, zapewne więc jakaś para szuka romantycznej chwili w tym uroczysku. Penetrują więc po kolei pokoje przy świetle latarki, powoli zbliżając się do naszego. Rysiek nie wytrzyma i cicho jak zjawa wysuwa się na korytarz – i w tym momencie rozlega się wrzask straszliwy, jakby dziewczyna co najmniej diabła ujrzała. – *Nie boites, my touristy* – chyba już tego nie słyszeli, bo para szybciej od dźwięku wybiega z budynku. Nastaje cisza, lecz po chwili rozlega się głośnie prychnięcie, parskanie i plusk wody połączony z gardłowym mruzeniem, jak u sytego warchlaka. To Diabeł zażywa pierwszej kąpieli Klonowskiego⁸. Ten wynalazek naszego znakomitego poprzednika bardzo nam ułatwia traperską egzystencję, a mój wspaniały kompan nie ma już dylematu himalajskiego⁹.

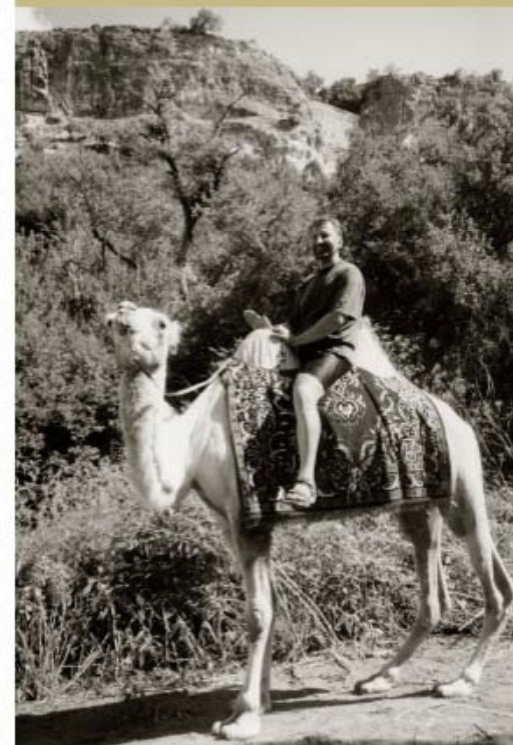
To, że udało nam się w dwa dni pokonać 260 kilometrów, okazało się dużym sukcesem. Kolejny dzień to „masakra” – że użyję tu słynnego zwrotu Marka z Gryfina¹⁰. Słońce jest wysoko na niebie, a na licznikach raptem 30 kilometrów jazdy i pełną te cyferki w ślimaczym tempie, bo nie sposób być dużo szybszym od ślimaka. Góra za górą, podjazd goni podjazd, a dziura dziurę. Coraz gorsza szosa powoduje, że zjeżdżamy z tych siodła znów na pełnych hamulcach, podskakując jak piłki golfowe i lawirując gwałtownie między bruzdami i dołami, a tu z nieba sący się co najmniej 30°C w cieniu, a z nas litry potu. Wijąca się droga wspina się ostrymi podjazdami wśród wysuszonej zieleni łąk, a powietrze drga migotliwie, zacierając widok kolejnego trójkąta z cyfrą 12%. Nie ma tu dużo lasów, choć wjeżdżamy w wyższe partie Karpat. Krótkie enklawy zieleni nie dają ochłodzenia, bo ostre szytelety słońca przenikają przez niezbyt gęste korony drzew. Jeszcze nie wiemy, że jest to uwertura

Na rogatkach wita nas ażurowo wykończona konstrukcja z nazwą miasta i szczerze pola wokół. Tę pustkę zaczynają powoli wypełniać pojedyncze chałupki z cegieł i kamienia, z blaszanymi dachami, a z każdej szpary w murze wykwitają kępy trawy i małych porostów. Jest falisto i skalisto, jako że wzgórza często są zwieńczone koroną lub grupką jasnoszarych chropowatych skałek. Szukamy Czufut-Kale – skalnego miasta, jednego z kilku takich unikalnych zabytków na Krymie. Po wielu wskazówkach, stromą ścieżką wyłożoną licznymi kamieniami i grubym żwirem, a wijącą się w labiryncie białych piaskowców i brunatnych granitów z połyskliwymi wysepkami srebrnej miki – dojeżdżamy do właściwego miasta. Dziwny to gród, jak skansen wciśnięty między dwa grzbiety całkiem wysokich pasm górskich gdzieś gęsto zalesionych lub miejscami całkiem nagich, a sycących oczy pionowymi galeriami ścian. Wspinamy się rowerami cały czas w górę, lawirując między autami i sportowymi grupami ludzi chodzącymi wzdłuż i w poprzek jezdnii. Widać od razu, że jest to duże centrum turystyczne, pojawia się coraz więcej budek, sklepów i straganów. Skalne miasto jest spory kawał za normalnym miastem, które notabene jest w całości jednym wielkim zabytkiem. Tu nie zmieniło się dużo od czasów Chanatu Krymskiego, a gdy już docieramy do pierwszego cudu tej stolicy Tatarów – czas zatrzymuje się zupełnie. To wykuty w skale i wtopiony ozdobnymi fasadami w pionowe ściany Uspeński monaster. Budowali go mnisi na przełomie VIII i IX wieku i w takiej formie jest do dziś. Gdyby nie stoliki z pamiątkami, sprzedawcy fast foodów i gadżetów, krzykliwi przewodnicy i parasolowe bary poniżej – cofnęlibyśmy się o 1200 lat. Właśnie w takim barze zostawiamy rowery, bo dalsza wędrowka może być tylko pieszo. Monaster jest normalną czynną świątynią, a mnisi trudnią się m.in. produkcją ziołowych preparatów i leczniczych olejków, które oczywiście kujemy. Podziwiamy kolorowe malowidła, kunsztownie wyrzeźbione w piaskowcu postacie, biblijne motywy i portale nad ciemnymi czeluściami wejść. Nad monastylem wznosi się jeszcze 50-metrowa galeria nagich skał, w wielu miejscach przewieszona, a przypominająca otoczenie klasztoru

w hiszpańskim Montserrat. Do Czufut-Kale prowadzi ostro w górę asfaltowa ścieżka, zmieniająca się po chwili w kamienisty górski dukt. Sporo wycieczek ciągnie tą trasą, a my chwilami dołączamy się do grupy, by lyknać trochę wiedzy od przewodników. Podejście jest długie i męczące, a ścieżka często przechodzi w kamienne rumowisko. Palm jeszcze nie widzimy, jest za to wielbłąd, który niespodziewanie wkracza na drogę, prowadzony przez półnagiego chłopca. Dwa garby majestatycznie kiwają się na boki, a śmieszny, płaski nos jest aksamitnie miły w dotyku. Zwierzę jest oczywiście atrakcją dla turystów i przejażdżka kosztuje 5 hrywien. Diabeł w myśl hasła „twój pierwszy raz” dosiada wierzchowca, wchodząc między garby po specjalnych schodkach. Wielbłąd rusza, a kumpel wydaje głośne okrzyki ni to zachwytu, ni to rozkoszy, a naprawdę strachu, bo kiwało jak na dobrej fali i myślał, że runie z dwumetrowej, bądź co bądź, wysokości. Przesiadkę z roweru na wielbłąda uwieczniłem oczywiście kamerą i kliszą.

Stroma ścieżka wije się dalej wśród białych skałek i kolczastych roślin, by doprowadzić nas do... kasy. Nie musimy udawać rodowitych Ukraińców, bo w przeciwieństwie do rosyjskich zwyczajów – tu każdy płaci tak samo. Czufut-Kale to miasto-twierdza

Przejażdżka



pokonujemy siodła, których drugi podjazdowy garb jest niezmiennie wyższy i dłuższy od pierwszego.

Przystajemy w pewnym momencie na kolejnym wzniesieniu, bo zdziwiał nas widok niezwykle, jak na tę już wysokogórską okolicę. Przed nami trochę w dole, między 1500-metrowymi skalistymi szczytami zwarłego masywu gór – wyrasta skupione blokowisko kilkunastopiętrowych budynków! Ta wyspa z klocków w miarę zbliżania się rośnie do wymiarów Małego Manhattanu, lecz już na miejscu jest to zdecydowanie osiedle im. Józefa Stalina. Wjeżdżamy do Tyrnauz, miasteczka zupełnie niepasującego do tego serca gór. Mijamy ruiny starej fabryki i betonowe rampy, by po chwili wjechać między 12-piętrowe budynki z burego betonu, poobijane, obdrapane i obwieszane bielizną suszącą się na oknach. Są sklepy, jest knajpa, a chyba nawet dwie, między blokami snują się ludzie, wcale do górali nie podobni i jak zawsze na postoju, oblepia nas chmara dzieciaków. Ulica przelotowa idzie ostro w górę, a z lewej strony wprost z chodnika wyrastają skalne ściany. Zastanawiamy się, z czego żyją ludzie w tej nie turystycznej przeciwieście.

Po drobnych zakupach zdecydowanie naciskamy pedały, by jak najszybciej dotrzeć do wioski Elbrus, która jest ostatnią osadą przed łańcuchem najwyższych szczytów. Droga robi się coraz bardziej stroma, tak jak góry wokół. Jest to już jednolity masyw podszyty lasem przycho-dzącym wyżej w niskopienne drzewka i kolczaste krzewy kończące się przy idących stromymi uskokami i półkami na wysokość 2000 metrów turniach. Zaczynają pokazywać się wierzchołki z białymi płatami śniegu, którego granica powoli idzie w dół, w miarę jak my pniemy się w górę. Przepiękny jest widok śniegu odbijającego ostre słońce w samym środku lata. W wyżłobionych jak witraże ścianach, malutkimi kanionami suną w dół srebrne siklawy i zmieniając się niżej w grzmiący potok, giną gdzieś w koronie drzew, by po chwili złączyć siły z matką rzeką – Baksam. Ta wyraźnie się zwężyła, nabrała impetu i siły, by rwącym strumieniem rozbijać się o głazy i kipieć wodospadem na licznych progach. Nie jesteśmy sami na szosie, mija nas dużo samochodów, czasem nawet z rowerem na

dachu. Ciągną tu ludzie z całej Europy, że nie powiem świata, bo Kaukaz jest niepowtarzalną i unikalną krainą gór. Góry te są jeszcze najmniej skażone cywilizacją, biorąc pod uwagę całą zagospodarowaną i skomercjalizowaną górską Europę. Może nie ma tu takiej wyniosłej i smukłej piękności jak alpejski Matternhorn – ale za to jest widoczna niezwykła fantazja matki natury, która wyrzeźbiła te góry na skraju Europy, jak by chciała dać im szansę zachowania najdłużej dziewictwa i świeżości wieku młodzieńczego. Kaukaz jest stosunkowo młodym górotworem i jego niezwykle urok wynika nie tylko z ukształtowania i wysokości (powyżej 4500 metrów), lecz głównie z nieskażonej, pierwotnej dzikości. Jest wiele szlaków nietkniętych ludzką stopą i mało miejsc, gdzie doszła cywilizacja. Panu Bogu udało się tu jeszcze jeden żart. Na środku posadził wulkan – zupełnie niepasujący do skalistych, poszarpanych szczytów wokół – lecz za to najwyższy. Wygasł on wieki temu, przybrał kształt dwóch okrągłych kopców, zwanych przez chłopców cymbkami, a ludzie nadali mu imię Elbrus. Ten wielbłąd mający daleko na horyzoncie, jeszcze przykryty niebieską mgielką, jeszcze mały na tle ośnieżonych smukłych wierchów, jest naszym celem i już nam przyśpiesza tętno.

Gęsty las, w który zanurza się droga, na krótko przysłania nam wszelkie widoki. Jest już wioska

Blisko celu



Pociąg ma tylko trzy wagony („plackarny” 15!), nie ma bagażowego, a zarówno przedsiönki, jak korytarze i kabiny wyścielają puszyste grube dywany. Przedziały są trzyłożkowe jedno nad drugim, jest stolik i umywalka. Jest też młoda i piękna Swietłana, która zajmuje dolne spanie. Próby zamiany przedziału się nie udają, będziemy więc mieszkać razem. Rowery każą nam wstawić do kabiny i udaje się to z najwyższym trudem, dopiero po zdjęciu kół przednich. Zajmują całą wolną podłogę, tak że do łóżka wchodzimy po ramach, a nasza miła towarzyszka jest całkowicie zablokowana do 8 rano.

Nastaje 35. dzień wyprawy, ostatni na obczyźnie i ostatni na rowerze. Jesteśmy we Lwowie, rodzinnym mieście mego ojca, dziadka, pradziadka, prapradziadka i praprapradziadka po tym, jak uciekł z Francji przed rewolucyjną gilotyną. Aż wstyd, że nigdy tu nie byłem i Diabeł zresztą też, choć jego korzenie mają bardziej piekielną historię. Polykamy więc wzrokiem to legendarne miasto, przemierzając na rowerach i porównując rzeczywistość ze znanymi nam fotografiami, obrazami, filmami, książkami, legendami i bajkami. Urok i czar Lwowa jest powszechnie znany, a miasto opisane i wyśpiewane przez wiele pokoleń Polaków – nie będę więc go dokładnie przedstawiał. Mało kto jednak wie, że jazda tu jednośladem – jest koszmarem! Bruk ulic ma na oko nie 100 a 500 lat i kolekcje dziur od czasów Stalina. Szyny tramwajowe zagłębiają się głęboko w jezdnię, a krawężniki mają dla rowerów wysokość pierwszego piętra.

Mimo tych przeszkód, w całości docieramy do Cmentarza Łyczakowskiego. Poza zwiedzeniem samej nekropolii, mam jeszcze ważną misję – mając tylko skąpe wskazówki, odnaleźć rodzinny grobowiec. Wejście jest płatne (3 hrywny) i od razu głowy kręcą nam się wokół własnej osi. Prawie wszystkie cuda tego miejsca zaczynają się już za bramą. Nie będę też tego opisywał, znacznie lepiej robią to setki przewodników i książek, które wszystkim polecam. Cmentarz jest ogromny, zagłębia my się więc tylko w niektóre sektory z co bardziej znanymi dziełami sztuki cmentarnej i grobami sławnych oraz mniej sławnych ludzi. Jest chwila

zadumy na cmentarzu Orląt Lwowskich, jest moment ciszy przy kwatach bohaterów wojny, słuchamy też, co opowiadają przewodnicy licznych tu wycieczek. A potem zaczynamy tropić moich przodków. Nie jest to proste i lepszym detektywem jest mój przyjaciel, który pierwszy staje przy krypcie. Ze wzruszeniem zapalam świecę na starym grobowcu, dumając, jaką musiałem okrezną, karkołomną i trudną drogę pokonać, by przeżyć tę chwilę i dotrzeć do miejsca tak w sumie bliskiego od kraju i domu. „I tak szuka biedaczysko tego, co jest bardzo blisko” – można by tu przytoczyć strofę z *Koziółka* Matołka, jako że do grobu dziadka mego ojca oddalonego o 500 kilometrów od domu, ja jechałem 6200, bo tyle wyniosła droga z Wrocławia do Lwowa via Kaukaz. Do wieczornego pociągu jest sporo czasu, oglądamy więc zabytki miasta, docierając do gmachu Opery i pchlego targu obok. Opera faktycznie jest przepiękna i monumentalna, a targowisko jak przystało na to miejsce, ma duszę artysty. Mimo dużej podaży różnej maści malarzy, rzeźbiarzy, garncarzy itp. nie udaje mi się kupić stosownej pamiątki, więc najlepszą okazuje się oryginalna, znana i lubiana (patrz *Odessa*), ostra ukraińska „piercowka”.

Wczesnym wieczorem podmiejska „elektryczka” dowozi nas do granicy, a stąd ostatnie już kilometry w siodle wykręcamy do Przemyśla. Ostatnim też okruczem minionej przygody jest kaukaski ser, który tu kończymy. Jeszcze rzut oka na licznik – pokazuje 2768 kilometrów – i tak musi być, bo zostawiłem po drodze 8,5 kilograma ciała, a Diabeł niewiele mniej. Zostało też nasze serce na tym dalekim górzystym wschodzie, pod słomianymi strzechami chałup, na ciemnych piaskach dwóch mórz, w wiecznych śniegach białego dachu Europy, wśród czerwonych poziomek Kaukazu i złotych słoneczników Rumunii. Zostawiliśmy je też dobrym ludziom, bo tylko takich mieliśmy szczęście spotkać na tym 35-dniowym szlaku i mamy wielką wiarę, że tak będzie, aż do naszej ostatniej rowerowej wyprawy, której termin – miejmy nadzieję – jest w mrokach dalekiej przyszłości!

PS Ukraińskie Koleje Państwowe słowa jednak nie dotrzymały.

różnymi gratami. Ale większym odkryciem jest otwarty garaż w piwnicach domu, a w nim małe pomieszczenie, z którego bucha prawdziwe ciepło. Jest to węzeł grzewczy chałupy, stoi gorący bojler, kłębią się rury i gorąco jest jak w łaźni – a „o to się Polska biła” – jak mawiali kiedyś chłopcy. Postanawiamy skorzystać z tego daru losu, zrobić wielkie szorowanie, mycie i suszenie. Jest prąd, ładujemy więc kamerę, komórki i grzałką gotujemy wodę do prawdziwej, gorącej kąpieli męskiej (to mój wynalazek z 2003 roku). Oczywiście pilnie nasłuchujemy, czy ktoś nie zawita do nas z gością (ciekawe, czy by nas pogonił?), no – ale kto w taką pogodę...? Legowisko mościmy na krzesłach w szopie i z czystym sumieniem i ciałem, dajemy się kołysać do snu szelestem deszczu i szumem spływającej wody.

Dzień 9.

11°C poranka otrzeźwia nas szybko i skutecznie. Jest ładna pogoda, co oznacza, że po prostu nie leje i nie pada, lecz o słońcu nie ma co marzyć. Przypominając sobie zmagania z upałem i duchotą poprzedniego roku stwierdzamy, że lepsza jest ta ponura szarość – ale nie deszcz. Droga niezmiennie podnosi się w górę i podjazdy robią się już górskie, bo ani się obejrzelśmy, jak nad koroną drzew zaczęły pojawiać się po obu stronach horyzontu coraz wyższe góry. Poza dwoma pierwszymi dniami nie było płaskiego etapu, lecz teraz czujemy, iż zaczyna się od dawna spodziewana karuzela górską. Skandynawia, a szczególnie Norwegia jest krajem górzystym i wyżynnym, a tak często podkreślana przyjazność dla rowerzystów i cyklistów odnosi się tylko do ludzi – nie przyrody.

Czytelnik zastanawia się zapewne, dlaczego nic nie piszę o ludziach (z małymi wyjątkami). Otóż nie piszę, bo ludzi prawie nie spotykamy. Przemykają się samochodami, czasem rowerem i wtedy pozdrawiamy się na odległość. Nikt nas nie zaczepia na postojach, dziwiąc się, co tu robimy z rowerami. Nie obskakują nas gromady dzieciaków, zasypując pytaniami i z okrągłymi oczyma dotykając detali naszych maszyn. Nie podbiegnie do nas uliczny sprzedawca – bo takich tu nie ma, nie obszczeka pies – bo karnie waruje zamknięty w szczelnym obejściu.

Nie zaczepi nas ani celnik, ani policjant, ani nawet żebrak – bo nikogo z tu wymienionych nie widzieliśmy cały miesiąc. Natomiast biednych i bezdomnych owszem, widzimy – ale to podobno wyklęte trolle, skazane na banicję w ludzkim ciele za przewinienia przeciw prawu w ich surowym świecie. Nie musimy jeszcze nic kupować z wyjątkiem picia i chleba, a to robimy w dużych marketach. Powszechnie wiadomo, że Norwegia jest bardzo droga i długo trzeba szukać, by utrafić towar mniej niż pięć razy droższy niż w kraju. Ostatecznie sprawdziliśmy, że najtańsze sklepy to Co-op i Rema 1000 (też jest u nas) i tu można dostać chleb prawie w polskiej cenie. Trzeba natomiast uważać na weekendy. Tu pracę się szanuje i dobry pracownik, to wypoczęty pracownik, więc z małymi wyjątkami wielkich hipermarketów – sklepy w sobotę i niedzielę są zamknięte.

Mijamy spore miasto Hamar, choć „spore” jest pojęciem względnym, bo dużym miastem w Norwegii tak naprawdę jest tylko stolica.

Narciarz w Lillehammer



Na śniegu



chmury, której chłód przenika nas na wylot, jednak rozgrzane mięśnie ogrzewają ciało. Widzimy tylko czerń i biel, a śnieg leży już z obu stron drogi. Jest nam wesoło, bo kalejdoskop zmiany pór roku w ciągu paru godzin jest przezabawną sprawą. Zostawiamy rowery i idziemy potarzać się po śniegu, rzucać kulkami i pstryknąć fotki. A nas z kolei fotografują turyści, którzy zatrzymali się opodal. Dziś jest niejako rocznica zabaw na śniegu (choć to nie „Love story”), bo 31 lipca rok temu rzucaliśmy śnieżkami pod Elbrusem.

Jedziemy dalej płaskowyżem i tu następuje piękny moment, który wyzwała ożywiony dialog:

– Markizie, oczom nie wieżę, czyżby miało wyjść słońce? – Diabeł zatrzymuje się i sady okulary na daszku czapki.

– Spójrz panie Diable, coś zaczyna wysysać te chmury i one się podnoszą, a popatrz w prawo, chyba zobaczymy góry!

– Gdzie my jesteśmy, co to wyrosło tu nad chmurami? – kumpel gwałtownie podnosi rękę, wskazując przed siebie.

Widok jest niezwykle. Wysoko nad chmurami, jak Feniks z popiołów, wynurza się jasno oświetlony wierzchołek góry. Jest szpiczasty i biały jak Mont Blanc. Szybko wertujemy mapę, tak – to jest dosyć odległy szczyt Nibbia 1818 metrów n.p.m. i on pierwszy przebił się przez chmury. Za chwilę cała mgła znika i pojawia się przed nami cudowny krajobraz! Płaskowyż, którym jedziemy, otacza wokół zwarta korona szczytów, w większości zwieńczonych skalnym wierzchołkiem postrzępionych bloków czarnego kamienia, między którymi wiją się jęczory i płyty śniegu, rażąco bielą odbitego słońca – bo ten rzadki gość zawitał wreszcie w te strony. Dojeżdżamy do dużego schroniska Diupvasshyta, przed którym stoi sporo samochodów i grupki ludzi. Na prawo wznosi się szczyt Dalsnibby, na który prowadzi wąska serpentyna. Spoglądamy w górę i widzimy, jak z wysokości 1476 metrów wolniutko stacza się autobus. Jego widok jakoś nam nie pasuje do tej surowej, zdawałoby się, zupełnie dzikiej góry. Lewy bok budynku dotyka tafla jeziora, którego brzegi łączą się z niebieską wodą pierścieniem lodu i postrzępionej kry. Ten na wpół zamrożony akwen to jezioro Djupvatnet, którego chłód czujemy wyraźnie, jadąc wzdłuż brzegu. Zaczęła się prawdziwa tundra. Zupełny brak roślinności, czarne skały i grube zasy śniegu w rozpadlinach, zastygłe nawisy lodu na ostrogach stromego miejscami brzegu rzeki, która wypełzła z jeziora i niosąc nieduże kry, leniwie wije się wyżyną. To i nie tylko to, będzie nam towarzyszyć przez najbliższe dni. Jedziemy jednym ze sławnych norweskich fieldów na stałej wysokości 1000 metrów. To jest kolejna (lecz nie ostatnia) po fiordach wizytówka tego kraju. Te płaskowyże o prawie arktycznym charakterze potrafią ciągnąć się setkami kilometrów, a ich dzikość można by przyrównać do islandzkich, a nawet grenlandzkich interiorów. Aż trudno uwierzyć, że jesteśmy w środku cywilizowanego kraju. Temperatura też pasuje do tej okolicy i w słońcu nie przekracza 12°C. A jak jest tu w zimie? To pytanie zostawiamy śmiałkom, o których czytaliśmy, iż planują zimową wyprawę w te rejony. A może wpierv przeczytają nasze wspomnienia?

I masz babo placek – musimy znów się zmagać z nieskończoną ilością siodeł na falistej szosie, a podjazdy wahają się w granicach 60 do 180 metrów wysokości względnej. Jeśli do tego dodamy wzmagający się i wiejący już z przodu silny wiaterek – to mimo naszej niewątpliwej zaprawy – jazda wyciska przysłowiowe siódme poty. Gdy zanurzamy się w połacie średnio gęstego lasu, napór wiatru zmienia się w głośny szum drzew, które znowu zrzucają na nas szyszki i pomniejsze gałęzie. Nagle jadący przodem Diabeł gwałtownie hamuje i wyciągniętą ręką wskazuje coś w lesie. Idę wzrokiem za jego palcem i... robi mi się miło na podniebieniu. Na samym skraju drogi, jak żołnierz na warcie, stoi wielki, pękaty jak baba w babie, jasnobrązowy grzyb!

– Panie Markizie, to piękny, prawdziwy borowik – jak on się tu uchował? – krzyczy zachwycony kumpel i z wielkim pietyzmem ścina go tuż przy ziemi. Kapelusz ma 25 centymetrów średnicy i z trudem mieści się w sakwie, a sam grzyb ważący dobre 2 kilo, zostaje przydzielony do służby na dzisiejszym obiedzie. Wiatr nagania wyraźnie ciężkie od wody, ciemne chmury i nie czekamy długo na pierwsze krople deszczu. Wirują one wściekle gnane podmuchami, bardzo utrudniając nie łatwą wcale jazdę. Robimy mały przystanek na parkingu i w zadaszonej altance uroczyście dzielimy borowika na dzisiejszą ucztę. Jest zdrowiutki i biały w środku jak śnieg. Będziemy go jednak konsumować dopiero na obiad, a zawsze staramy się do tego momentu przejechać przynajmniej dwie trzecie planowanej trasy, co zwykle oznacza 80 do 100 kilometrów jazdy. Dzisiejszy grzyb jest naszą marchewką, pędzimy więc, rozglądając się za dobrym przystankiem. Dania jest najtańszym krajem skandynawskim, miło robić tu zakupym mając jeszcze w pamięci norweskie ceny. I tak to miast margaryny kupujemy wspaniałe masło, a zamiast kefiru – kremową śmietanę. I to jest to! W tym właśnie maśle duszę prawdziwką z zasmażaną cebulką, a tłustą śmietaną obficie go polewając, ślinię się nieprzyzwoicie. Płatki ryżowe na gęsto dopełniają tę rozkosz, jaką jest dzisiejszy obiad, pichcony wśród gwizdu wiatru i zacinającej przez ścianki przystanku ulewy. Czy ktoś jadł skandynawskiego borowika

Borowik



w nowozelandzkim maśle, podlanego holenderską śmietaną, podanego z chińskim ryżem na duńskim przystanku autobusowym?

Jest 15°C i przebijamy się przez wiatr drogą rowerową, która zawsze towarzyszy szosie głównej. Nie ma tu fińskich zagadek, organizacja i oznakowanie ścieżek jest znakomite. W pewnym momencie dostrzegamy trzech sakwiarzy pilnie studiujących małą (tzn. oczywiście mapę) na rozstaju drogi. Zagadujemy po angielsku i okazuje się, że to Włosi, z których jeden mówi łamaną polszczyzną. Tych trzech małych ludzików (najwyższy ma 165 cm wzrostu) przybyło tu aż z Pizzy (niekoniecznie cały czas na rowerach) i chcą ambitnie dotrzeć do Norwegii. Strasznie narzekają na pogodę i zimno, żywo interesując się naszymi doświadczeniami. Nie chcemy ich podłamywać, jakie trudy ich czekają i w co się mogą wpakować, życzymy przeto tylko zdrowia, siły i lepszej aury.

Wjeżdżamy do lasu, skręcając z wytyczonego szlaku, gdzie nijak nie było miejsca na biwak. Musi to być spora puszcza. Robi się mroczno

ROZDZIAŁ CZWARTY Diabelska podróż czwarta i piąta

ALPEJSKI DUET

CZĘŚĆ PIERWSZA – DOTKNIĘCIE ALP 2006

Jest ciepły, wrześniowy wieczór. Ten miesiąc w tym roku bardzo nas dopieszcza wręcz letnią aurą, zupełnie niepasującą do jego poprzednika sierpnia, który był niesamowicie rozkapryszony, jak złośliwy bachor. Ja tymczasem znów siadam do pisania wspomnień, ściskam pióro, wyteżam pamięć i wertuję notatki. W ciepłym pokoju wyciągam nogi daleko pod biurko i wchłonawszy łyk mocnej kawy, porządkuję w głowie i na papierze kalejdoskop kolejnych przeżyć i przygód minionego lata.

A wszystko zaczęło się od radosnego pomysłu mojego przyjaciela Diabła, który po kompletnym zaniku entuzjazmu do dalszego podróżowania rowerem (tak, tak, był w połogu po ostatniej wyprawie), nagle odzyskawszy dawny wigor, pewnego dnia rzuca groźne, lecz krótkie hasło – „Alpy!”. Ja z kolei przypominam sobie nasze stare motto i... nie ma innego wyjścia – trzeba znów jechać!

Łatwo rzec, trudniej zrobić. Alpy to poważne wyzwanie, nie wystarczy tylko doświadczenie, hart ducha i ciekawość świata. Tu trzeba się będzie przygotować nawet solidniej niż do poprzedniej, skandynawskiej wyprawy. Sprawdzone doświadczenia sprzętowo-jedzeniowe z poprzedniego roku możemy wprost zastosować w nowej ekspedycji, ale kondycję trzeba zdecydowanie poprawić.

Sprawdzian generalny jak zwykle robimy w pierwszy weekend maja dla uczczenia Święta Pracy i Konstytucji. Pogoda jest bezlitośnie zła i wyruszam na zaplanowane spotkanie z kumplem swoim niezawodnym rowerem w strugach deszczu i 11°C, a raczej „ciepłozimna”. 180 kilometrów szybkiej i trudnej jazdy bocznymi drogami z Wrocławia do Zielonej Góry kończę z bólem w obu kolanach. Podobne dolegliwości ma Diabeł i obaj rzucaamy przekleństwa przy każdej zmianie pozycji z siedzącej na

stojącą i odwrotnie. Chyba był to za duży wysiłek bez przygotowania, bo żadnych większych wyjazdów wcześniej nie robiliśmy, ze względu na pogodę też. Na powrót wybieram prostszą trasę, ale i tak te 165 kilosów kończy się silnym bólem lewego kolana. Czyżby coś się popsulo? Robię miesiąc przerwy w jeździe, lecz następna próba na etapie do Kotliny Kłodzkiej nie napawa optymizmem, ledwo wracam do Wrocławia. Czyżby koniec wypraw? Pisałem już kiedyś, że moc leży nie tylko w ciele, ale i w psychice. Wizyta lekarska nic nie wyjaśnia, fizycznie wszystko jest w porządku. Siadam więc któregoś dnia w pozycji lotosu i skupiając myśli w wielką pozytywną piramidę, intensywnie prowadzę dialog z własną słabością. Potem ponownie czytam wspomnienia Tadeusza Piotrowskiego (wielki alpinista i wspinacz), znowu lotos i dialog, a w końcu daję i na tacę.

Zaczyna się ciepły lipiec. Do planowanego startu zostało 22 dni i ostatnia szansa na decyzję o wyprawie. Wsiadam na siodło i schodzę z niego dopiero na wierzchołku góry Ślęży. 90 kilometrów szybkiej jazdy, 400 metrów wspinaczki w pionie i... o radości zwycięstwa – kolano nie boli! Powtórka tydzień później i znowu nic nie czuję. Ładuję więc rower do auta i pędzę do Karpacza. Zaczynam etap 5 kilometrów przed miastem, wysiadam przed świątynią Wang wysoko w górze i nadal jest dobrze! Jednak to jeszcze za mało. Wspinam się stromą, kamienistą drogą do schroniska Samotnia, potem do Strzechy Akademickiej i dalej krętym, zupełnie nienadającym się na moją maszynę (trekking, nie góral), pieszym szlakiem pod Śnieżkę i – kolano nadal nie chce boleć! Jeśli ktoś chodził kiedyś tymi szlakami, to powinien mieć pojęcie, jaki to może być wyrp na rowerze. Na dzień drugi robię jeszcze parę górskich szlaków i mogę sobie teraz powiedzieć – veni, vidi, vici – jadę na spotkanie z Mont Blanc!!! Oczywiście tak ambitny plan raczej niemożliwy jest do realizacji w zaplanowanych trzech tygodniach, bo tylko tyle czasu ma Diabeł w tym roku. Chcemy zobaczyć przynajmniej sławny Matternhorn, a wyruszyć tam z Wrocławia i po przecięciu czeskiej ziemi przemierzyć Alpy Bawarskie rowerową drogą Innradweg. Następnie przeskoczyć Austrię, zobaczyć Innsbruck (w myśl hasła: „rowerem do miast olimpiad

Chyba tylko Austriacy potrafią tak pięknie wykonywać swego mistrza. Powoli wyjeżdżamy przez puste uliczki z miasta, gdy nagle przy drzewie dostrzegamy stos rowerów. Są i całe, i też niekompletne, a różne części walają się dokoła. Można więc coś wybrać i uzupełnić braki w rowerze, ale my na szczęście nie mamy takich potrzeb. Mamy za to potrzebę nadrobienia opóźnienia (jeśli to w ogóle możliwe), więc żywo ruszamy dalej.

Innradweg szybko wprowadza nas w sielski nastrój i krajobraz, bo droga piękna, żółtą wstęgą chrząszczącego szutru wije się wśród zielonych łąk i małych osad rozrzuconych wzdłuż rzeki i dalej rosnących, w dosłownym tego słowa znaczeniu, gór. Robi się znowu piękniej i serce nam rośnie, tak jak i podjazdy na coraz wyższe wzniesienia. W dalekiej perspektywie nieco przymglonego powietrza widzimy odległe, strzeliste szczyty poplamione śniegiem. Tam zaczną się prawdziwe Alpy i – o czym jeszcze nie wiemy – prawdziwe kłopoty.

Śmieszny jest w tym 9. dniu wyprawy nocleg. Kolejny raz w dziejach naszych podróży nocujemy w mieście. W miasteczku Imst zastaje nas wieczór, więc gwałtownie szukamy miejsca na namiot. Gdzieś za dużym marketem dostrzegamy kawałek dzikiego terenu i zrujnowany drewniany domek z otwartymi drzwiami. Postanawiamy tu się przespać, bo nie trzeba będzie tracić tak cennego dla nas czasu na rozbijanie i zwijanie obozu. Buda jest obskurna, lecz podłoga prosta, jest gdzie zjeść i położyć materac. Śnią mi się dziwne sny, trochę fantastyczne, trochę erotyczne, trochę przyrodnicze z robakami w rolach głównych. A rano dokonuję paskudnego odkrycia – mam dwa kleszcze! Umieściły się pod szyją i na plecach, czarne kuleczki z dwoma wystającym jak czułki łapkami i bardzo ruchliwymi przy próbie dotyku. Od razu naszły mnie wszystkie strachy związane z kleszczami:

– Cholera! Jak nic dostanę kleszczowego zapalenia mózgu, a już na pewno boleriozę – z odrazą oglądam w lusterku czarne, kosmate kuleczki.

– Nie będzie tak źle panie Markizie – pociesza mnie przyjaciel.

– Tak? To wytłumacz mi proszę, czemu ja mam dwa, a ty żadnego? To niesprawiedliwe, powinno być po równo.

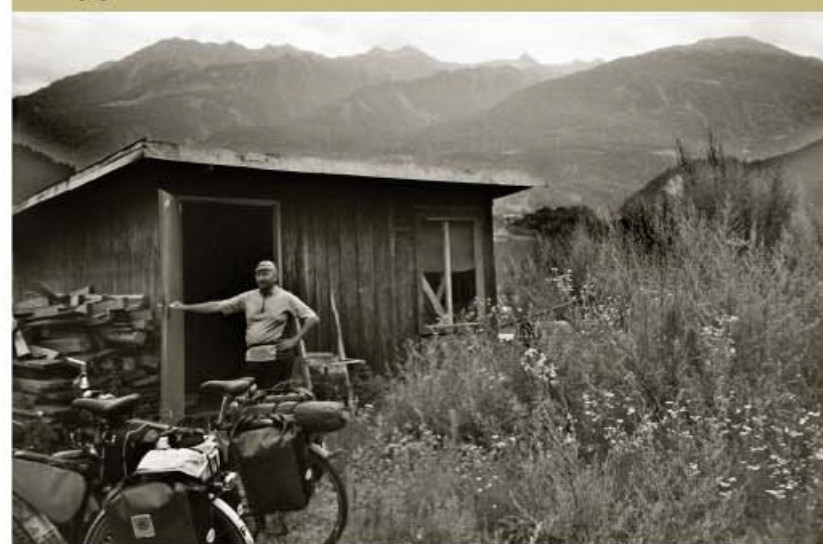
– To tak życzysz przyjacielowi? Może ty masz lepszą krew, na pewno błękitną, a one to lubią, ja mam zwykłą, robotniczą, no może z małym dodatkiem szlacheckiej.

– Panie Diable, nie będziemy licytować się o krew, trzeba szybko to paskudztwo usunąć!

I tak debatując, zabieramy się do operacji, a chirurgiem oczywiście jest mój niezłomny kompan. Za pomocą noża i łyżeczki dokonuje zabiegu z łatwym do przewidzenia efektem – połówki robali zostały w mojej biednej skórze. Co zyskaliśmy na czasie, nie robiąc obozu, straciliśmy na zabieg, a ja zakleszczony ruszam na kolejny tyrolski etap.

Krajobraz wokół, że powiem po swojsku – pięknieje i dziczeje (a że dzikość jest piękna, więc pięknieje do kwadratu), i powoli zbliżamy się do Szwajcarii. Droga idąca ciągle wzdłuż rzeki razem z nią wrzyna się w wysokie zbocza, które piętząc się prostopadłymi i coraz bardziej stromymi ścianami, ściskają rzekę i drogę w cienkie wstęgi. Nie tylko są podjazdy, ale też i szybkie zjazdy, bo szosa wspina się na małe przełęcze,

Tu były kleszcze



nimi jedzie. Zatrzymujemy się na późny obiad koło budynku jakiejś fabryki, bo stoją tam stoły z ławami. I tu podchodzi do nas elegancki facet, z którym nawiązujemy rozmowę. Jest zainteresowany naszym opowiadaniem o alpejskich perypetiach.

– To wam nie zazdroścę pogody, ale zazdroścę pasji. Ja też kiedyś jeździłem po Alpach, ale to było 15 kilo temu – tu wskazuje na swój brzusek – a teraz to czasem udaje mi się tylko w „wochenende” trochę pojeździć. A macie może ochotę na dobrą kawę?

– Ależ oczywiście! Książęcej kawy nigdy nie próbowaliśmy – z entuzjazmem konsumujemy propozycję. Poleca mi iść z sobą do biura i w holu wskazuje na automat.

– Wybieraj co chcesz – ja płacę.

Ku swemu zdziwieniu widzę, że kawa jest tu trzykrotnie tańsza niż w Szwajcarii czy Austrii, praktycznie w polskiej cenie. Wypijamy po dwie i czekoladę na dokładkę. Miły gość okazuje się być tu menażerem i opowiada nam trochę o życiu w tym państewku. Tu jest cacy, nie ma bezrobocia, zarobki bardzo wysokie, ceny dużo mniejsze niż w krajach obok, a mieszkanie można mieć prawie darmo, trzeba być tylko obywatelem najjaśniejszego księstwa. Więc panowie rodacy – nie Londyn, nie Hamburg, nie Dublin, nie Amsterdam, a tylko ten mały Lichtenstein! Lecz o tym w kraju nikt nie wie.

Wysłałem wreszcie do domu pierwszego i ostatniego SMS-a, lepiej późno niż wcale, tak jakoś ciągle nie było nastroju:

„Pozdrowienia z Alp. Trudna wyprawa. Alpy cudne, ale groźne. Leje od tygodnia i skracamy wyprawę Nie można było jechać dalej, ale i tak dużo wrażeń. Przed nami Jezioro Bodeńskie. Całuję R+R”.

Ciągniemy rzeczywiście do tego legendarnego jeziora, cały czas wzdłuż Renu i tą piękną ścieżką. Naprawdę jest tu bajkowo, jak w krainie po drugiej stronie lustra. Malownicze góry już zalesione, ale z nagimi szczytami. Stare domki z czerwonymi dachami, kolorowo ukwiecone bujne łąki i z daleka mające zameczki na skałach. Żadnych pól ani pastwisk. Nawet krowy nie widzieliśmy, chyba wszystkie wyniosły się do

Milki. I te rozwidlenia dróg z czterema drogowskazami – Niemcy, Austria, Szwajcaria, Lichtenstein – i gdzie tu jechać? Więc znowu wjeżdżamy do Helwetów, by za pół godziny po raz trzeci być w Austrii. W międzyczasie rodzą mi się w głowie fantastyczne plany. A jakby tak kiedyś zrobić na rowerze romantyczną wycieczkę, nie wyprawę? Tak na luzie, bez pośpiechu, w miłym, może i mieszanym towarzystwie? Lecz po chwili wraca otrzeźwienie. Jeszcze nie teraz, jeszcze trochę! Najpierw muszę Alpom wyrwać serce i pokonać je z najtrudniejszej strony! Może za rok?

Dojeżdżamy do Jeziora Bodeńskiego, które obmywa Austrię, Szwajcarię i Niemcy. To jest wielka, sławna, wręcz legendarna woda i serce bije nam szybciej, gdy stajemy na brzegu, a drugiego próbujemy sięgnąć wzrokiem. Lecz jezioro wylewa się za horyzont, który łączy się z chmurami w jedną całość. Jest ponuro i w tym samym nastroju jest też woda, przybrawszy brudnoszarą barwę. Stoimy na trawiastej plaży, a obok cała paleta tabliczek z tuzinem zakazów, rozbijania namiotów też. Ruszamy

w stronę Niemiec drogą rowerową biegnącą wokół całego jeziora. Obok idzie szosa i kolej, jedna miejscowość łączy się z drugą, tłumy ludzi przechadzają się po deptakach, dochodzą dźwięki muzyki. Mijamy porty z lasem masztów jachtowych, widzimy statki białej floty wychodzące w rejs, a nawet gdzieś niegdzie kąpiących się ludzi. Piękna musi być wycieczka wokół jeziora, które ma ca 300 kilometrów obwodu. Na krótko rozpętuje się ulewa, lecz wychodzi jednak słońce i pod wieczór docieramy do Lindau.

Na końcu drogi



DWA SERCA ALP

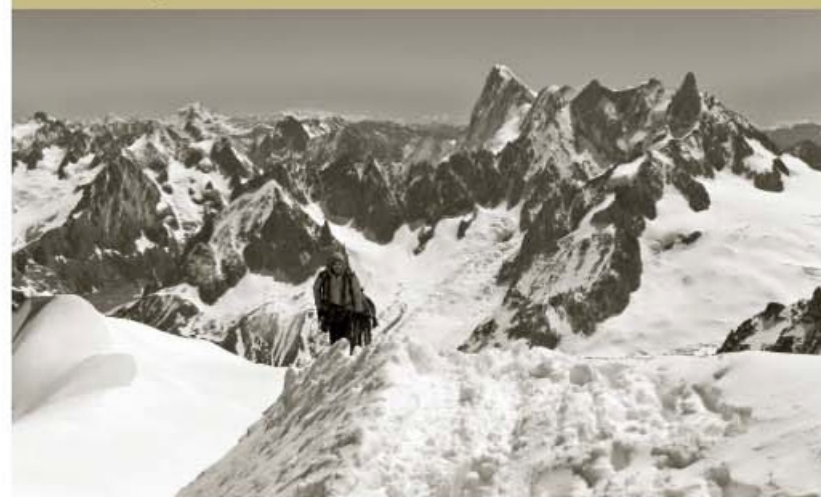
A jednak!!! Namiot świeci na zielono. Świeci to mało powiedziane, on płonie i grzeje jak zielona kwarcówka. Wyskakujemy ze śpiworów jak prażona kukurydza, a słońce przez moment nie pozwala nam otworzyć oczu. A gdy się już otworzyły, otwierają nam się też buzie. Na wprost nas, w tle nieskazitelnego błękitu wznoszą się oślepiająco białe szczyty. Rozpoznaję tę bardzo charakterystyczną linię dwugarbnej góry – to Mont Blanc! Dłuższy czas wpatrujemy się w masyw, jak w niezemskie zjawisko i szybkim ruchem głowy omiatamy widoczny horyzont. Las szczytów, ani pół chmurki, błękit i biel – coś niesamowitego, koniec kłątwy! Uwijamy się jak w ukropie, jest późno, a góry czekają. Ubieramy się enduro i tak jak ongiś na Kaukazie pod Elbrusem pędzimy na kolej linową, by z bliska zobaczyć to pierwsze serce Alp.

I na ten moment czekało pół świata w Chamonix. Nieprzebrane mrowie ludzi kłębi się przy dolnej stacji i wije w długich ogonkach. Jest 8.30 i zdajemy sobie sprawę, że powinna być 6, by udało nam się zrealizować wszystkie plany. Góry są wieczne, dzień nie. Rozglądam się

Kolej na Midi



Wśród szczytów



po publice i widzę nie tylko pełen przekrój ras i narodowości, lecz też wieki i statusu. Są wspinacze dzwoniący rzędami klamer i karabinków u pasa, są rasowi turyści w odziani kolorowe kaftany, stoją całe kompletne i niekompletne rodziny z małymi dziećmi na rękach, równym rzędem nowoczesnej stomatologii śmieją się dziadkowie, głośnym piskiem jazgoczą malcy z rękawiczkami na sznurkach, a zdumienie nasze budzą sprawni inaczej, przykuci do wózków. Zdecydowany prym wiodą japońcy, jak pancerniki najeżeni lufami obiektywów. I to mrowisko mają zabrać czerwone wagoniki cicho sunące jeden po drugim na cel nr 1 – Aiguille du Midi (Igła Południa) – igielny szczyt na wprost Mont Blanc. Decydujemy się kupić całodzienny bilet za 46 euro na wszystkie wyciągi i koleje zębate. A jest tego dużo, jak pajęczyn w starej piwnicy. Chamonix położone jest w dolinie wtopionej między dwa łańcuchy górskie z licznymi lodowcami, których jezory dostrzegamy w miarę napowietrznej wędrówki w górę. Kolej pokonuje różnicę ponad 2800 metrów w pionie i szybko zielone zagony u stóp szczytów zmieniają się w nagie ściany naszpikowane przepaściami i polami śniegu. Z minuty na minutę

Odpoczynek



No, ale kto wie, może im teraz jest gorzej? Kupuję pamiątkę – zaszuszone owoc roślina wodnej na podstawce. Wygląda jak fragment meteorytu i jest z Jeziora Mużakowskiego, a roślina ta jest ponoć jedyną na świecie występującą tylko tu, na Altaju. Naszą uwagę zwróciły drzewa licznie obwieszane skrawkami materiału, paseczkami i wstążkami. To wota modlitewne i życzeniowe, zostawiają to m.in. nowożeńcy na przychylność „bogów” i losu. Zwyczaj bardzo popularny na tym Dalekim Wschodzie, jeszcze to spotkamy. Zanim ruszymy, nie możemy sobie odmówić pomarzenia przy wieloramiennym drogowskazie na poboczu – „Moskwa – 3168, Berlin – 4770, Tokio – 4590, Pekin – 2679, Władywostok – 3562, Ułan Bator – 1577 kilometrów” – to gdzie teraz? Póki co, mamy długi zjazd i nadrobienie strat czasowych. A widoki zapierają dech tak samo, jak pęd powietrza świszczący w uszach i szprychach. Białe ściany powoli się pochylają, przechodząc w łagodniejsze garby, już mocno zielone, pocięte kobiercami łąk zaanektowanych przez brązowo-białe lacie krowy. Gorsza sprawa, że one anektują też szosę, co wymaga nagłego hamowania.

Dwie płaskie sylwetki jakby przyklepione do asfaltu pojawiają się za zakrętem. Stajemy, równocześnie podnosząc ręce w geście powitania. Chłopak i dziewczyna na rowerach poziomych budzą naszą nieskrywaną ciekawość. To Francuzi, więc moi prapraprakrajanie, a że mój francuski jest też pra, więc przechodzimy na angielski. Okazuje się, że oni właśnie wracają z Mongolii! Rozmawiamy dobre pół godziny, nie mogąc też nadziwić się ich rowerom. Oczywiście, znamy takie maszyny, ale jak się one mają do tak poważnej ekspedycji? Okazuje się, że całkiem dobrze. Bagażu chyba więcej niż u nas, wygodne siedzenia, mały opór powietrza, ale jest problem z górami. Tu Francuzi muszą przyznać nam rację – przy stromych podjazdach i zjazdach widzą tylko niebo.

– To w górę, do nieba! – śmiejemy się.

Na szczęście można zerkać na pobocze. Mniej nam do śmiechu, gdy zaczynają wspominać Mongolię. Na mapie pokazują, jaką drogą winniśmy jechać, by dotrzeć na nasz planowany szlak północny. Tu nie można, bo piach, a tu z kolei brak mostu. A ta ścieżka kończy się w bagnie błotnego jeziora, natomiast tędy nie polecamy, bo trzeba wspinąć się na skaliste zbocza i kluczyć między głazami. Itd., itp. By dotrzeć do Ulaangom

Francuzi



Czy można pięknie zacząć dzień, jak nie tęczą? Ozłocone szczyty wpisane zostały w luk przeogromny na nieskażonym błękitie rozpięty, a mgła rosy podgrzanej uniosła się już w ciszy górskiego poranka, woalką sekretu skrywając najwyższe wierzchołki. Zbudziły się ptaki, zbudziły insekty lotne. W ciszy hangaru azyl znalazły muchy kosmate wespół z watahą syberyjskich komarów. Teraz to woalki skrywają nasze głowy, bo żadne kremy nie pomagają. Te zasłonki z firan będą najczęściej używanym odzieniem. Szosa nasza parując jeszcze mokrym wspomnieniem, skacze jak żaba z garbu na garb, pikuje w niecki między wzgórzami, zniża się, chcąc dotknąć niebieskiej rzeki, by w chwilę po tym napierać na ściany i półką wykutą w jej cieniu przemykać, a rzeka robi się taka wąziutka, zostawszy w dole z dobrych sto metrów. Na stałej wysokości 1150 metrów zmagamy się z krajem potwornych siodeł, które zmarszczyły ostatnią wyżynę dzielącą nas od najwyższego Altaju. Już mającą czterotysięczne szczyty, już chmury odsłaniają białe płachty śniegów. Gdy droga znów zniża się do rzeki, prawie słycać okrzyki raferów, którzy mkną byстрыm nurtem na dmuchanych pontonach lub tratwach. Rafing to popularna tu rozrywka, zarówno dla turystów, jak i sportowców, a rwący Katuń daje wspaniałe warunki. Widzieliśmy raferów już wcześniej, ale tu dopiero zaczyna się prawdziwa olimpiada.

Jadąc przy rzece, która jest trochę wzburzonym zwierciadłem niebieskiego nieba, dają się unieść poezji syberyjskiego pejzażu. Jak ten kadr w kamerze przesuwają się zaklęty obraz. Po prawej ręce taka romantyczna Syberia latem, cicho szemrząca woda, soczysta zieleń wysokich szuwarów na tle nieco tu niższej tajgi, wrosłej w stopy wysokiego przedgórza, zapach modrzewia i wiatru. Po lewej, ściana skłębionej skały beżowego koloru kaskadami wznosząca się w górę, pocięta żlebami pęknięć, pokłuta czarnymi dziurami jaskiń i grot. Dołem łączy się rumowiskiem z drogą, nierzadko wrzucając swój urobek na szosę, a czasem przylgnie do niej prostą ścianą, gładką jak alpejskie granity, wilgotną, niedostępną. Wtedy to droga chowa się w cieniu, a powietrze staje się chłodne i ciche.

Ałtajskie klimaty



Ałtaj w dzień



nasze zadki nie dostały zostały zmasakrowane, próbujemy jechać bokiem, gdzie pralka zanika, ale wtedy koła sunące na granicy nasypu, ryją w miękkim gruncie, wykazując wielką ochotę zsunienia się w dół. Pierwsze 10 kilometrów zajmuje nam godzinę i z rozpaczą myślimy o następnym tysiącu. Zajęci tą walką ledwo zauważamy ten nowy świat, który coraz szerzej nas otacza i wchłania. A jest to piękny świat w swojej surowości i prostocie, jak też w nieznanym nam zupełnie klimacie. Słońce powoli mówi dobranoc i oblewa łagodne górkę różową poświatą, która miesząc się z naturalnym burozielonym kolorem zboczy, ubarwia je na szkarłat. Rozglądamy się z ciekawością dzieci w lunaparku, lecz trzeba uważać, właśnie mignęła ciężarówka wielkości tira i wypychając nas prawie za pobocze, zakryła wszystko siwym tumanem pyłu. Będziemy ich spotykać więcej, całe prawie zaopatrzenie kraju w żywność, paliwo, papierosy, wódkę i inne niezbędne do życia produkty, pędzi z bratniej Rosji. Nie tylko zaopatrzenie wzbija chmury, czynią to także turyści, którzy w nie mniejszej ilości najeżdżają Mongolię. Będziemy spotykać motocykle i przepyszne terenówki, campbusesy i pojazdy mieszkalne przygotowane jak na wyprawę marsjańską, zwykle osobówki i tutejszy „transport publiczny”. Gdy kurz opadł, wypatrujemy równoległą ścieżkę, która okazuje się być bez pralki, więc można nieco przyspieszyć. Wkrótce w oddali pojawia się stado białych baranków, które po zbliżeniu okazują się niczym innym, jak pierwszymi jurtami. Jest ich ze trzy obok siebie, a przycupnęły w sporej odległości od drogi niedaleko wznoszącej się góry. Wiedząc, że spotkamy jeszcze wiele takich „osad”, obserwujemy je z daleka. Droga mocno kręci między górkami piachu i kolczastymi krzewami, a kierunek widzimy tylko po chmurach pyłu, jakie wzbija się po prawej ręce niewidocznej drogi głównej. W pewnym momencie z przeciwka nadjeżdża motor i gwałtownie staje. Na rosyjskiej maszynie marki Ural siedzi dwóch skośnookich milicjantów w charakterystycznych ruskopodobnych czapkach. Ku naszemu najwyższemu zdumieniu, nie chcą nas zatrzymać, tylko stanąwszy na baczność, przykładają ręce do czapek. Pierwszy salut mongolskiej władzy!

Pierwsze jurty



Knajpa



i lepcy od brudu, co szczególnie kumpla gnębiło, bo przecież to znany esteta. Mnie mężczy brak przemycia oczu, a jego pupy i zębów. Ale dziś esteta nie jest. Nie zebrał do woreczka, jak to od 10 lat czynił, ani papierka, ani okruszka, ani złamanego paznokcia, by potem to zakopać, lub do kosza wrzucić. Mało tego, zostały puszki i papierki z batonów, tak jak i srebro po czekoladzie. Brak wody zagłuszył instynkt, u Diabła rzecz niesłychana!

Powolutku teraz jedziemy, nie wiedząc ciągle czy obraliśmy dobry kierunek, a horyzont przysłaniają grzbiety skalne. Jest jednak nadzieja, wraca step wraz z pojawiającymi się kępami traw i ostów, które nieśmiało wykluwają się z wszechobecnych żwirów i piachów. Upał dziś odpuścił, jest „tylko” 35°C i lekki wiaterek. I właśnie on przynosi nawy zapach – to woń piołunu, zapach nadziei. Ten piołun będzie nam odtąd towarzyszyć i drażnić nozdrza, choć nasze wargi, języki, gardła i przelyki pieką, jak po kuracji tym lekarstwem. Grzbiety niewysokich gór i skalnych enklaw powoli zostają za nami, pustynny step skrzy się czarnym żwirkiem i cieszy coraz większymi płachtami szorstkiej trawy

Czy tak skończymy?



prowadząc lekko w dół, co pozwala wreszcie normalnie jechać. Nie czujemy nawet wściekłego pragnienia, które nas od czterech dni dręczy. Trochę mnie to niepokoi, wszak wiadomo, że przed śmiercią głodową, głód ustępuje, przed zamrożeniem robi się ciepło i miło, przed skonanym na szubienicy już z przerwaniem rdzeniem, jest słodko w ustach. Ciekawe tylko, kto to wszystko opowiedział?

Z krótkiej zadumy wyrывa mnie głośnie – Patrz!!!

Przenosząc wzrok za wyciągniętą ręką, czuję, jak wraca mi pragnienie, apetyt, ślina w ustach i czucie w jelitach. W dalekiej perspektywie widzimy małe jezioro otoczone wysoką trawą. Nie muszę chyba nikogo przekonywać do uwierzenia, że w krótkim czasie pobiliśmy mongolski rekord szybkości roweru! Serce prawie nam wyskakuje z wysiłku i emocji, gdy zaczynamy zagłębiać się w wysoką trawę. Swoją drogą jesteśmy zaskoczeni, że takie coś w ogóle istnieje w tym marsjańskim krajobrazie. Nie jesteśmy za to zaskoczeni gwałtowny atakiem obrońców jeziora, bo w końcu to ich matecznik i dom rodzinny, a że przy okazji chcą coś przekąsić... Takiego roju komarów to nie widziałem nawet w Skandynawii, która jak wiemy i sprawdziliśmy, z tych owadów słynie. Zaczęła się walka na śmierć i/o życie, by dotrzeć do wody. I nie owady okazały się problemem, a grunt. Z każdym krokiem zaczynamy coraz bardziej zapadać się w żwirowym bagnie. Po tym jak Diabeł z trudem wydobyl sandała, idziemy na bosaka, mimo iż ostre żwirki kaleczą stopy. Jednak przegrywamy i musimy zrezygnować z wody, w obawie, że możemy zostać tu na zawsze, i to bez krwi. Obrońcy wygrali i to nie ostatni raz. Jak niepyszni dosiadamy rowerów, do tego umorusani okrutnie, ale z nadzieją w sercu i przelyku na dotarcie do jakiegokolwiek wody, zanim podzielimy los ostatniego konia.

Nadzieja jest matką głupich, ale głupio jest... nie będę już kończył znanego powiedzonka, bo po kolejnych strasznych 35 kilometrach, w perspektywie idącego lekko w dół stepu widzimy maleńkie punkciki jurt. Po 5 dniach piekła wraca nadzieja i wiara, jak i konkluzja – jesteśmy też sami trochę winni – Francuzi mieli rację. Cześć ich pamięci!

bonus będzie dopiero wieczorem. W pierwszym dużym mieście Prešov błądzimy okrutnie, ale pierwszy słowacki nocleg jest święty, bo pod wyniosłym krzyżem. Tylko tam był kawałek równej trawy, a nie wspomnę już, jak do tego miejsca pasował Diabeł. Niemniej dwa duże piwa w wiosce Ličartovce tłumią nasze wyrzuty sumienia. W drodze do Koszyc znów wpadamy w sidła błądzenia i duże góry, nie tyle wysokie, co ze stromymi podjazdami. Z utęsknieniem myślimy o Nizinie Węgierskiej.

WĘGRY. Na granicy, której oczywiście nie ma, pijemy kawę, ciesząc się krajem bratanków, który wita nas rowerowymi drogami z Eurovelo na czele.

Na początku wcale nie jest płasko i to wiele kilometrów ciągną się górkę, a potem pagórki. W miasteczku Gönz spotykamy pierwszy raz cyklistów, którzy zwiedzają swój kraj i są zaskoczeni, że jedziemy aż do Grecji. Peter i Andrea długo jadą z nami, wyprowadzając z labiryntu drózek na właściwy szlak. Jest już płasko i spokojnie, bo cały czas pędzimy

Eurovelo



Spotkani Węgrzy



ścieżką, choć pędzimy, to złe słowo. Rośnie upał i wzmaga się wiatr systematycznie nas hamujący, jakby chciał przypomnieć, że tacy „dziadkowie” winni co najwyżej autokaru dosiadać. Na potwierdzenie tego wieczorem boli mnie ścięgno nad piętą, a Diabeł ma odparzone krocze, które po obnażeniu wygląda jak tatar i na dobitkę każe sobie myć plecy.

Miłym akcentem jest dojazd do miasta Tokaj, z czym to się kojarzy nie muszę chyba wspominać. Ale skojarzenia w wino nie zamienisz, zadowolili się więc musimy zdjęciem na tle winnicy. Noclegi trafiają się byle gdzie, najczęściej na krzywej łące lub ugorze na skraju rachitycznego lasu. Na takim jednym jest pobudka o 5:30, bo do śmierdzącej z daleka obory idzie ranna zmiana. Gorąc nas wykańcza, ale i tak robimy średnio 121 kilometrów na dzień. Kolejna dolegliwość to ból tyłka. Mimo iż mamy siodła stosunkowo wygodne, wchodzi nam one w..., jak lizus szefowi. Z tego powodu czasem mimo zapasu siły zmuszeni jesteśmy

Koło polarne



Podniosłym momentem jest przekroczenie koła polarnego, a na pewno niespodzianką, że przejeżdżamy je w sandałach i prawie nago. Potem się dowiemy, że w tym samym czasie w kraju było zimno i deszcz. W miejscu przekraczania koła jest stosowna tablica i na cokole stoi drucziany globus. Drugi raz zobaczymy koło przy powrocie w Rovaniemi, którego namalowaną na ziemi białą krechę będą ostentacyjnie przekraczać tłumy turystów.

Niezwykła niespodzianka będzie na mnie czekać w Finlandii, którą w tą stronę przejedziemy raptem w pół dnia. Na prostej, pustej szosie biegnącej lasem znajduję zgubioną przez kogoś torebkę, a w niej mały aparat foto, szaszetka z około 30 dolarów i pół litra znakomitej fińskiej wódki! Sama wódka tutaj ma wartość 30 euro i to nią wzniesiemy uroczysty toast na Nordkappie, a będzie mieć smak mięty.

Nie są niespodzianką liczne grupy cyklistów i rowerzystów z różnych krajów, w tym i z Polski. Pierwszego spotykamy młodego Niemca, który co nieco nam opowiada o przyładku, nie mówiąc jednak rzeczy

najważniejszej, o czym później. Potem spotykamy jeszcze wielu, ale tylko się pozdrawiamy w biegu. Zaciekawia nas pędzący (dosłownie) z przeciwka na oko stuletni jegomość, wypisz wymaluj Mojżesz z białymi do ramion włosami i metrową brodą, a niesamowicie obciążony rower ciągnie jeszcze potężną przyczepkę z gigantycznym bagażem. Facet musi być znany, bo sporo później od kogoś się dowiemy, że to Niemiec. Bardzo miłe jest spotkanie w Alcie, mieście gdzie schodzą się różne szlaki na Nordkapp, z Holendrem, który właśnie stamtąd wraca. Jest nawet starszy od nas, bardzo wesoly i kilka razy powtarza: – Pamiętajcie, nie dajcie się nabrać na żadne opłaty! Płacą tylko kierowcy, rowerzyści są święci! Spotkamy też przed którymś z tuneli miłą Norweżkę, która samotnie przemierza cały swój kraj. Dłużej za to będziemy mogli sobie pogadać z Grzegorzem z Warszawy na wypasionym rowerze, z markowymi sakwami i w takich ciuchach. Nic nie mówi o opłatach, a może dla niego był to szczegół bez znaczenia, jak kiedyś dla lebskich Austriaków³⁰.

Spotkany Holender

